

CZĘŚĆ IV

UZBEKISTAN

Dzień pięćdziesiąty piaty

25 maj 2010

Pobudkę fundują nam zмирzające na pastwisko krowy. Poranek wita nas piękną pogodą, chyba zapowiada się całkiem ładny dzień. Po porannej toalecie, wyszykowani ruszamy w kierunku uzbeckiej stolicy.

Taszkient od razu wita nas ogromnym ruchem ulicznym i wariatami, najczęściej w białych samochodach marki Daewoo / Chevrolet. Właściwie innych samochodów tutaj nie uświadczysz. Najpopularniejsze są Matizy i przeżywająca tutaj drugą młodość Nexia. Zatrzymujemy jednego z kierowców pseudo-taksówek, który dowiaduje się, gdzie zlokalizowana jest polska ambasada i za dosłownie 2 \$ prowadzi nas przez połowę Taszkientu. Jesteśmy na miejscu o godzinie 8.00, wita nas polski żołnierz i informuje, że placówka pracuje dopiero od godziny 9.00. Cóż było zrobić? Ruszamy w trójkę na podbój miasta (Janusz zamierza pomajstrować przy Defie) w celu pozyskania lokalnej waluty. Znajdujemy mały bank, w którym jeden z klientów bierze mnie pod ramię i informuje, że głupotą jest wymiana waluty w banku. Oficjalny kurs lokalnej waluty to 1 \$ = 1550 sumów, a 1 Euro = 2120 sumów, podczas gdy na bazarze można za 1 \$ otrzymać 2200 sumów, a za 1 Euro prawie 2500. Co więcej, ten sympatyczny człowiek zaprasza całą naszą trójkę do swojego samochodu i zawozi nas na bazar. Jeszcze nie zdarzyliśmy wejść właściwie na bazar, a już zaczepiali nas oferujący wymianę walut. Po 5 minutach kolejną taksówką wracamy do naszych samochodów, a nasze kieszenie wypchane są lokalną walutą. Jak na razie największy nominał banknotu to 1000 sumów, co powoduje, że przy obecnym kursie po wymianie około 100 \$ w naszych kieszeniach musi się zmieścić co najmniej 200 banknotów. A wymieniliśmy przecież zdecydowanie większą kwotę.

Przed polską ambasadą jesteśmy punkt 9.00 i poznajemy kolejnych pracowników naszej placówki. Mamy przyjemność również poznać naszego konsula - panią Tamarę Niziołek, która zaprasza nas na rozmowę. Otrzymujemy od niej sporo informacji zarówno o sytuacji w kraju (podczas naszego pobytu w Uzbekistanie, Polska po raz kolejny zmagają się z powodziami) jak i o zwyczajach panujących tutaj, tj. w krajach Centralnej Azji. Niestety - w sprawach dla nas najistotniejszych, tj. w pozyskaniu wiz: uzbeckiej, turkmeńskiej i irańskiej - konsulat nie może nam nic pomóc ponad to, że mamy aktualne adresy placówek. Podziękowaliśmy więc za miłą rozmowę i ruszyliśmy w miasto.

Taksówka wiezie nas na ul. Uzbekistan, gdzie znajduje się lokalny OWIR. Punkt 11.00, gdy zaczyna pracować dostajemy się do środka i po odstaniu swojego w kolejce dowiadujemy się, że tutaj wizy nie można otrzymać, że jedynym miejscem, gdzie wizę można przedłużyć jest oddział OWIR'u na lokalnym lotnisku. Zdenerwowani, przeczuwając kolejne kłopoty, wsiadamy w kolejną taksówkę i ruszamy na lotnisko. Tutaj „całujemy przysłowiową kłamkę”, urzędnicy w biurze są tylko w porach przylotów międzynarodowych samolotów i od lotniskowych pograniczników dowiadujemy się, że najwcześniej będą dopiero po godzinie 14.30. Mamy masę czasu, więc postanawiamy odwiedzić ambasadę Turkmenii. Tutaj znowu nici ... Znaczący się w celu złożenia wizyty należy wpisać się na listę kolejkową. Wpisaliśmy się, ale nasze numerki (ponad 30) nie dają żadnej szansy na dzisiejszą wizytę. Mimo, że pilnujący bramki chłopak sugerował, że nas wpuści, to nie udało się nam przygotować wymaganych dokumentów. Cóż - jak pech to pech.

Postanowiliśmy jeszcze odwiedzić ambasadę irańską, ale tutaj dowiadujemy się, że nic z tego - teraz jest przerwa obiadowa i należy przyjechać później. Kolejną taksówką wracamy na lotnisko. Tym razem na lotnisku jest ogromny tłum - pewnie będą jakieś międzynarodowe odloty. Udajemy się ponownie do lotniskowego OWIR'u i tym razem mamy więcej szczęścia, bo w biurze jest kilku oficerów. Po kilkunastu minutach oczekiwania zostajemy zaproszeni na długą, ale niezbyt owocną rozmowę. Jedyne co wynosimy z wizyty w tym miejscu to informacja, że tutaj nic się nie da załatwić, że należy wrócić do głównego OWIR'u na ulicy Uzbekistan i tam sprawę załatwić. Dostajemy namiar na naczelnika i następną taksówką ruszamy do biura emigracyjnej milicji. Na miejscu udaje się nam jedynie rozmawiać z oficerem dyżurnym, który zdobył dla nas informację, że jeśli będziemy mieli podanie z biura podróży (tu wymienił UZBEKTOURISM) to wizę dostaniemy. Ruszamy więc (znowu taksówką) do siedziby tego biura, które znajduje się za Hotelem Uzbekistan. Rozmowa z przedstawicielem biura wnosi tyle, że musimy znaleźć hotel współpracujący z jakimś biurem turystycznym, to biuro po załatwieniu zakwaterowania powinno wystawić nam pismo polecające do UZBEKTOURISM, które z kolei wystąpi ze stosownym pismem do OWIR'u. Skomplikowane, ale na szczęście pomagają nam w znalezieniu takiego biura - jest to firma DOLORES, mająca siedzibę przy hotelu Grand Orzu. Ba - po około pół godzinie przyjeżdża po nas hotelowa taksówka i mamy już zakwaterowanie. A formalnościami zajmuje się miła dziewczyna - Szahnoza, pracownica tego biura.

Na dzień dzisiejszy pozostaje nam właściwie tylko ściągnąć samochody spod polskiej ambasady do hotelu, a zanim nam się to udaje - odwiedzamy jeszcze myjnię, tak by nie musieć wstydzić się naszych Land Rover'ów w tak czystym mieście, jakim jest Taszkient.

Podjeżdżając pod hotel widzimy, że parkuje tutaj jeszcze jeden Defender. Chwilę później poznajemy dwoje młodych Holendrów - Bram i Anouk, właścicieli tego pojazdu. Ci młodzi podróżnicy swoim samochodziem planują dotrzeć do Argentyny, by następnie ściągnąć samochód z powrotem drogą morską do Europy. Na razie jednak nie znają terminu powrotu, a ich wyczyny można śledzić w Internecie - www.utrecht2ushuaia.nl. Jako, że teraz nie specjalnie możemy rozmawiać (zostało jeszcze troszkę formalności na dzień dzisiejszy), więc umawiamy się z nimi na wspólną kolację. Im nie udaje się zakwaterować w naszym hotelu, zamieszkali w Orzu, ale obiecali wpaść do nas. I rzeczywiście - wczesnym wieczorkiem są u nas, siadamy więc wspólnie w hotelowej restauracji i spędzamy wieczór na oglądaniu zdjęć, wymianie doświadczeń z podróży i wesołych rozmowach.

A noc udaje się nam spędzić w komfortowych warunkach. W takim hotelu już dawno nie spaliśmy.

Dzień pięćdziesiąty szósty

26 maj 2010

Budzi nas rześisty deszcz.

Jakoś dziwnie się śpi w łóżku. Po dwóch miesiącach w podróży i spaniu w najprzeróżniejszych miejscach - człowiek przyzwyczał się do swojego wygodnego samochodziku i wszelkich niedogodności z tym związanych na tyle, że łóżko wydaje mu się czymś dziwnym.

Nie mniej - wstaję nawet wypoczęty, w końcu udało mi się spać w pozycji wyprostowanej, a to już dużo.

Nie mamy paszportów, nic nie możemy załatwić w związku z wizami więc postaramy się poznać chociaż w małym stopniu stolicę Uzbekistanu. Taszkient stoi przed nami otworem. Po sytym śniadaniu (a jak, żyjemy przecież jak Paniska) bierzemy taksówkę i ruszamy w kierunku starego miasta. Kierowca wysadza nas przed starym hotelem Chorsu, od którego chyba nazwę przejęła cała dzielnica. A może było odwrotnie.

Jednym z najciekawszych miejsc dzielnicy jest medresa Kukeldasz i przyległy do niej meczet Juma. Nieśmiało wchodzimy do wnętrza medresy starając się zachować spokój i ciszę. Ale nie jest to łatwe, bo każde z nas chce podzielić się wrażeniami z resztą. Podchodzi do nas starszy pan i płynną angielszczyzną zaczyna opowiadać o medresie, zwyczajach w niej panujących, a także nieco o historii Uzbekistanu i religii jego mieszkańców. Prosi nas o zachowanie ciszy, bo w dniu dzisiejszym adepci tej szkoły koranicznej mają egzaminy. Później prowadzi nas do małego warsztatu, w którym uczniowie zajmują się rękodziełem artystycznym wykonując różnego rodzaju drobiazgi z drewna. Mimo, że proponowane ceny wydają się nam absurdalne to po długich targach kupujemy kilka pamiątek.

Meczet Juma (piątkowy) jest jakby przeciwieństwem medresy. Przynajmniej architektonicznym. Jest to budynek pozbawiony, zwłaszcza we wnętrzach, jakichkolwiek dodatków czy zdobień. Moim zdaniem doskonały przykład górowania treści nad formą. Spełnia swoją rolę w najprostszy z możliwych sposobów. I chyba właśnie o to chodzi. Wewnątrz udaje się nam chwilę odpocząć od ulicznego zgiełku z jednej strony, a z drugiej od narastającego upału. Chyba zaczynają się coraz cieplejsze dni.

Za medresą zaczyna się bazar. Włoczmy się wśród kolorowych stoisk rozglądając się za drobiazgami dla naszych bliskich, a także za pamiątkami z podróży dla nas samych. Myszowanie po bazarach zawsze sprawiało mi wielką przyjemność, podobnie jak przekomarzenie się z kupcami w celu znalezienia najlepszej wartości kupowanych przedmiotów. Nie inaczej jest na lokalnym bazarze Chorsu. Kupujemy kilka czapeczek, wdzianka i jeszcze parę innych drobiazgów, chwilę odpoczywamy w małym bazarowym barze popijając kawę i zającąc się szaszłykami, po czym - obciążeni wracamy na chwilę do hotelu. Z jednej strony chcemy pozbyć się balastu (ilość drobiazgów zaczęła nam objętościowo i masowo już przeszkadzać, chociaż portfele zostały w znaczący sposób odchudzone), a z drugiej - zżera nas ciekawość i niepewność, więc zamierzamy porozmawiać z panią z biura turystycznego, która załatwia nam uzbecką wizę.

Na miejscu okazuje się, że stosowne dokumenty zostały już wczoraj wieczorem złożone, ale na odpowiedź czy właściwie decyzję OWIR'u musimy czekać aż do ... poniedziałku. To chyba najgorsza część otrzymanych informacji. Lepsza jest taka, że mamy z powrotem nasze paszporty i możemy załatwić sprawy wizowe. Ambasada Turkmenistanu dzisiaj już nie przyjmuje, więc zmieniamy plany i ruszamy do ambasady irańskiej.

Zostajemy przyjęci przez sympatycznego pracownika ambasady, który na początku informuje nas, że nie może nam wydać wizy turystycznej, a co najwyżej 7-mio dniową wizę tranzytową, a także że procedura wizowa potrwa co najmniej do piątku. Kolejny powód do zmartwień. Staram się zachować cierpliwość i z największym spokojem próbuję raz jeszcze przedstawić naszą sytuację. Jest bezbramkowa, bo bez wizy irańskiej nie otrzymamy turkmeńskiej, a taki termin oczekiwania uniemożliwia nam dalszy legalny pobyt w Uzbekistanie. I chyba poskutkowało - po wypisaniu stosownych dokumentów, wręczeniu zdjęć i uiszczeniu stosownej opłaty (37 Euro od osoby) otrzymujemy zaproszenie po odbiór wiz na jutro, na godzinę 10 rano. Pierwsza dobra wiadomość. Czyżby szczęście zaczęło nam sprzyjać? Czas pokaże.

Wracamy taksówką do hotelu (tyle kursów taksówkami chyba przez całe swoje dotychczasowe życie nie uskuteczniłem, dobrze że koszt to 4000 sumów, co jest równowartością niespełna 2 \$).

Na koniec dnia zostawiliśmy sobie spacer i kolację. Trafiamy do przeciętnie prezentującego się baru, w którym - w przeciwieństwie do innych miejsc - stołuje się mnóstwo ludzi. Miła kelnerka poleca nam lokalną zupę i potrawkę z kurczaka, ale my staramy się prezentować postawę „jajka mądrzejszego od kury” i rezygnujemy z kurczaka na rzecz ryby. Był to błąd. Zupa była przepyszna, lepieszka i sałatki również, ale walka z rybą przeciągała się w nieskończoność.

Przed snem siadamy jeszcze z komputerami na kolanach w hotelowym barze i przy butelce „przeciętnego wina, ale jednak wina” (w ocenie Janusza) próbujemy skorzystać z Internetu. Do łóżek udajemy się pełni niepokoju, co kolejny dzień przyniesie.

Dzień pięćdziesiąty siódmy

27 maj 2010

Zgodnie z planem mamy być punkt 8.00 przed ambasadą turkmeńską, by zapisać się na listę kolejkową. Zbieramy się więc bystro, jemy śniadanie i taksówką jedziemy pod ambasadę. Jesteśmy o czasie, niestety - lista kolejkowa jest już przygotowana i sporo ludzi przed nami. Mamy poz. 19-22, co niespecjalnie dobrze rokuje - tak naprawdę nie mamy szans wejścia. Ruszamy więc na krótki spacer w kierunku ambasady irańskiej. Właściwie to wsiadamy na stacji Ojbiek w metro i jedziemy jeden przystanek linią Junusobod, by na stacji Amir Timur przesiąść się w na linię Chilonzor i pojechać na Hamid Olimzon. A stąd już spacerkiem do ambasady. Punkt 9.00 jestem u konsula i o dziwo - paszporty z wizami irańskimi są już gotowe. Możemy więc wracać do turkmeńskiego poselstwa, co też czynimy. Mając jednak chwilę czasu wybieramy się na kawę do typowego fast-food'owego lokalu.

Zamawiamy kawy i ciastka, ale tylko Beata ma na tyle szczęścia, by kawy się napić. Ani Janusz, ani ja tego szczęścia nie mamy, więc po półgodzinie oczekiwania prosimy o rachunek, na którym jednak wyszczególniono wszystkie kawy. Oczywiście nie zamierzamy tego rachunku płacić, więc po krótkiej dyskusji uiszczamy właściwą należność i idziemy do ambasady. A tutaj już tłum ludzi. W grupie kolejkowej poznajemy dwóch Francuzów - Bruna i Clementa - którzy podobnie jak my, chcą dostać się do Turkmenistanu. Tyle, że oni są „plecakowcami” i podróżują długo po świecie. Clement jest w podróży ok. 6 miesięcy, a Bruno - prawie 1,5 roku. Szczęściarze. Nie to co my. Wymieniamy się podróżniczymi doświadczeniami i jakoś czas nam upływa. Od nich dowiadujemy się, że możemy za łapówką wejść wcześniej - co za 20\$ organizuje chwilę później Janusz. Przekupiony milicjant organizuje nam aplikacje wizowe i na 10 min przed zamknięciem ambasady wchodzi do środka z kompletem niezbędnych dokumentów. Konsul początkowo niechętny, robi się bardzo miły po okazaniu pisma polecającego, które dostaliśmy w WARMOS'ie. Mówi, że na tranzytową wizę musielibyśmy czekać od 7 do 15 dni, ale skoro mamy ten dokument, to wizy turystyczne, 10-dniowe, będą jutro o 17.00 do odbioru. Niemalże w skowronkach wracam do przyjaciół i w doskonałych humorach wracamy do hotelu. Załatwiamy wszystkie formalności związane z kosztami pobytu i przekwaterowujemy się z Grand Orzu do Orzu (niby ta sama firma, ale standard i cena dużo niższe). Tutaj jeszcze łapie nas burza, więc mamy przymusowy postój.

Burza jednak była przejściowa i po kilkunastu minutach intensywnych opadów rozgadza się, więc ponownie ruszamy na podbój Taszkientu. Na cel wybieramy sobie plac Amira Timura (stara nazwa to chyba był plac Rewolucji), gdzie czeka na nas sporo atrakcji. Przede wszystkim pomnik samego Tamerlajna. Nad placem góruje ogromny budynek hotelu Uzbekistan (chyba jednego z najdroższych w mieście), a poza tym oglądamy sobie dwie wieże zegarowe i chwilę odpoczywamy w parku. Potem - krótka wizyta w muzeum Amira Timura i spacer po najpopularniejszej ulicy Sajligon, zwanej tutaj potocznie Broadway'em.

Spacerem docieramy do ścisłego politycznego centrum miasta. Mijamy modernistyczny budynek Galerii Narodowej, następnie pamiętający carskie czasy pałac Romanowów, by znaleźć się na ogromnym placu Niepodległości, gdzie znajduje się m.in. uzbecki parlament i Ministerstwo Finansów. Nieopodal, w tonącym w zieleni parku oglądamy potężny monument płaczącej matki, upamiętniający ok. 400 tys poległych Uzbeków podczas II Wojny Światowej. Spod pomnika spacerujemy ulicą Nawoj, chcąc dotrzeć do trzech mauzoleów. Niestety - ta próba spaliła na panewce, więc zmęczeni bierzemy taksówkę i wracamy do naszego hotelu.

Wieczorem wybieramy się do lokalnej restauracji, na zasłużoną kolację. Siedzimy sobie wygodnie na matach, zagryzając ostrą paprykę. A na obiad ja dostaję krem z ziemniaków oraz beafstrogonów z ziemniaczkami, podczas gdy cała trójka zajada się baranią.

Do łóżek padliśmy bardzo wcześnie.

Dzień pięćdziesiąty ósmy

28 maj 2010

Poranek upłynął nam bardzo leniwie. Nic nas nie goni, więc wstajemy gdzieś dopiero koło godziny 9 i schodzimy na śniadanie. W Orzu, podobnie jak w Grand Orzu - „szwedzki stół”. Nie mamy powodów do narzekań - śniadanie jest pyszne, do gustu przypada nam zwłaszcza porcja naleśników. I tutaj małe zabawne zdarzenie - w tosterze opiekają się tosty. Janusz myślał, że tosty szykuje kelnerka, więc zabrat obydwu z tosteru. Na to podbiegł pewien Niemiec, oznajmił, że to jego i zabrat je Januszowi z talerza. Cóż - jak widać tutaj o wszystko trzeba walczyć.

Pod hotelem próbujemy się dogadać z taksówkarzem, pokazując mu na mapie i na widokówkach, które miejsca chcielibyśmy w stolicy zobaczyć. Niestety - taksówkarz nie wiele jest w stanie nam pomóc, więc decydujemy się na wizytę w nowym, największym w mieście meczecie Hazrat Imama. Gdy tu dotarliśmy, okazało się, że meczet powstał w miejscu, gdzie znajduje się jeszcze kilka cennych islamskich zabytków. Nie mniej - zwiedzanie zaczynamy od meczetu, który nie jest specjalnie okazały, ma za to bardzo przyjemny dziedziniec - cały wykończony w drewnie. Nie mamy szczęścia - jako niewiernych nie wpuszczono nas do środka, możemy jednak zajrzeć przez główne drzwi - środek jest całkiem podobny do meczetu piątkowego - skromny, prosty. Kolejnym zabytkiem jest 16-to wieczna medresa Barakhana, która obecnie jest siedzibą kilku stylizowanych sklepów z pamiątkami. Podczas, gdy cała trójka próbuje zakupić pamiątkowe czapeczki, ja trafiam do sklepu z pięknymi obrazkami. Nawet zastanawiam się nad zakupem dwóch, ale przeraża mnie wizja ich transportu do Polski. Nie wiem, jak je zapakować. Za medresą znajduje się małe mauzoleum, w którym znajduje się m.in. grób Hazrat Imama. A nieopodal znajdują się również inne, religijne obiekty, które jednak nie przedstawiają większej turystycznej wartości.

Visa vis kompleksu znajdujemy małą kawiarenkę, gdzie pijemy poranną kawę i zajadamy przepyszne, ale również niemożliwie słodkie ciasteczka. Potrzebny był nam krótki odpoczynek, bo mimo dość wczesnej pory, słońeczko przygrzewa już niemiłosiernie.

Nie mogę sobie darować tych trzech wczorajszych mauzoleów. Nie mówiąc nic nikomu, tak prowadzę grupę, że docieramy do miejsca, gdzie wczoraj się poddaliśmy. Spacerkiem docieramy do Islamskiego Uniwersytetu, na terenie którego znajduje się jedno z tych mauzoleów. Wg informacji pozyskanych od ochroniarzy obiektu (o ile dobrze ich zrozumieliśmy), mauzoleum Junus Chana jest dzisiaj niedostępne dla turystów, zlokalizowano bowiem w nim restaurację. Niestety - dzisiaj jest nieczynna.

Kilkaset metrów dalej udaje się nam zlokalizować wpierw tablicę, a później również mały park wciśnięty między współczesną zabudowę, gdzie znajdują się dwa maleńkie ceglane mauzolea - Szejka Howanda Tahura i Kaldirgohbi. Mimo nieciekawej lokalizacji między uniwersytetem a biurami można tutaj znaleźć odrobinę cienia i spokoju, co też skwapliwie wykorzystujemy, by sobie odpocząć.

Po raz kolejny korzystamy z metra. Tym razem kierujemy się na dworzec kolejowy, czyli musimy wsiąść na przystanku metra Taszkient. Pod drodze mijamy kilka naprawdę ładnych stacji metra, szczególnie spodobała mi się stacja Uzbekistan (na których nad wagonami metra zamontowano potężne kinkiety) i stacja Kosmonautów (której wystrój nawiązuje do sowieckich wyczynów kosmicznych).

W pobliżu głównego dworca kolejowego, skąd odchodzą dalekobieżne pociągi zarówno do największych miast Uzbekistanu, jak i Rosji, zlokalizowany jest mały skansen kolejowy. Spacerując wśród starych, wystużonych parowozów i innego kolejowego taboru, przypominam sobie zarówno dzieciństwo, kiedy na trasie Żywiec - Zwardoń sam podróżowałem pociągami prowadzonymi przez parowozy, jak i czasy studenckie - w końcu w jakimś stopniu sam miałem związek z koleją. Po wizycie w skansenie odwiedziliśmy nowoczesny, chociaż tylko z frontu, dworzec kolejowy. A napotkani milicjanci wyrażali zdumienie, gdy pytałem o pozwolenie fotografowania dworca. Coś się chyba jednak tutaj zmieniło.

Czeka nas dzisiaj jeszcze wizyta w turkmeńskim konsulacie. Jesteśmy na miejscu przed czasem i gdy tylko się pojawiajemy woła mnie chłopak pilnujący bramki i zaprasza do środka. A w środku - wielkie rozczarowanie - konsul wydziera się na mnie, że co ja sobie nie myślę, że dla czego mu nie powiedziałem, że pismo służyło już do pozyskania wiz turystycznych. Złupiałem, bo dokładnie to mu powiedziałem, ba - nawet przedłożyłem kopię wiz, które straciły ważność. Dostałem nasze paszporty z powrotem, z informacją, że nasze wnioski w takim razie przyjmuje i prześle normalnym trybem jako aplikacje o wizę tranzytową i że można się dowiadywać o wizę za tydzień / dwa tygodnie. Najlepiej jak potrafiłem starałem się ponownie wytłumaczyć naszą sytuację, ale nie na wiele się to zdało. Jedyne co wskórałem, to obietnica, że konsul postara się sprawę załatwić tak, by w środę popołudniu było coś wiadomo. Wracam więc ze skwaszoną miną do reszty grupy i zastanawiamy się co robić dalej? Padło na drogę powrotną przez Kazachstan, bo z tego co wiemy, z turkmeńską ambasadą są tutaj problemy. Ruszamy więc na poszukiwanie ambasady Republiki Kazachstanu, która na całe szczęście znajduje się całkiem niedaleko. Tutaj jednak poza pozyskaniem formularzy aplikacji nie udaje się nam zdobyć żadnej informacji. Musimy być tutaj w poniedziałek wczesnym rankiem.

W bardzo złych humorach, zmęczeni wracamy do hotelu, by odreagować. Zderzenie z post-sowiecką rzeczywistością jest dla nas nie do przeskokowania. Na pocieszenie wybieramy się na kolację, a jako lokal wybieramy miejsce, gdzie stołuje się spora liczba gości. Niestety - dzisiaj ilość gości nie była dobrym wyznacznikiem miejsca, nie mniej - pojedliśmy sobie nieco. A w drodze powrotnej, w sklepie z alkoholami poznajemy dwóch młodych Uzbeków - Antona i Fahrada (Fiodora), którzy zapraszają nas do swojego biura na wódkę. Przyjmujemy zaproszenie i całkiem nieźle się bawimy. Okazało się, że Fiodor jest aktorem (jego pokaz znajomości Puszkina jest imponujący), więc udaje się mu nas zabawiać do późnocy.

A potem już tylko wesoły powrót do hotelu.

Dzień pięćdziesiąty dziewiąty

29 maj 2010

Zaczyna się kolejny dzień przymusowego postoju w Taszkencie. Zaczyna nam brakować pomysłów na to, co można jeszcze tutaj robić. Oczywiście - miłośnicy imprez i nocnego życia zapewne byłiby tym urażeni, ale nam zaczyna się tutaj pomału nudzić.

Rankiem wybieramy się spacerkiem (bo trzeba przecież zacząć oszczędzać) na bazar, na którym mieliśmy okazję wczorajszym wieczorem urzędować. Dzisiaj jednak wybieramy się tutaj raczej w innych celach niż imprezowo - towarzyskie. Przyczyna jest prozaiczna - musimy wymienić pieniądze. Udaje się nam znaleźć „konika” niemalże natychmiast, a kurs który zaproponował jest zdecydowanie lepszy niż wszystko, co nam oferowano do tej pory. Wymieniamy gotówkę z zapasem (przynajmniej tak się nam wydaje). Wg naszych kalkulacji powinno wystarczyć nam zarówno na paliwo, jak i na cały nasz pobyt w tym mieście. Zadowoleni ruszamy w kierunku naszych samochodów, które od kilku dni grzecznie sobie stoją pod naszym pierwszym hotelem - Grand Orzu. Tutaj kierowcy przystępują do reanimacji zasilania elektrycznego wentylatora chłodzenia silnika w Defie (opis operacji dość skomplikowany - prawda?). W międzyczasie jeden z taksówkarzy oferuje się zorganizować paliwo. Jak obiecał, tak i zrobił, ale oferowana cena była dla nas porażająca. Oficjalna cena oleju napędowego tutaj to 1100 sumów, a on chce od nas 5000 sumów, co stanowi równowartość 2,50 \$ za litr paliwa. Zgroza. Rozdzielamy się więc i ja z młodą jedziemy na poszukiwanie paliwa po stolicy, a chłopaki dalej grzebią w samochodzie.

Znajdujemy stację benzynową w pobliżu Chorsu. Ale cóż z tego, skoro jest zamknięta i nie sprzedaje paliwa? Zajeżdżamy na nią od tyłu i próbujemy się dowiedzieć w czym rzecz. Bez skutecznie - nikt nam nie potrafi wytłumaczyć dlaczego rząd wstrzymał dostawy paliw. Nie mniej - Uzbek podobnie jak Polak potrafi sobie radzić w trudnych sytuacjach, więc jeden z pracowników stacji złapał za telefon i zaczyna wydzwaniać po Bóg wie kim. Nie mniej - po kilkunastu minutach otrzymujemy informację, że paliwo jest, ale będzie kosztować 2000 sumów za litr (prawie dwa razy więcej niż oficjalnie, ale zarazem 2,5 raza mniej niż to, co oferował nam taksówkarz). Bez wahania decyduję się na zakup, więc z naszym nowym młodą kolegą jedziemy przez pół miasta i docieramy do jakiejś starej przyzakładowej stacji paliw. „Soljarka” jest więc od razu kupujemy jej prawie 150 dm³. Umawiam się z chłopakami, że na nas zaczekają i wracam po Janusza. Pół godziny później i Defender ma pełny bak. Wprawdzie zakup ten skonsumował dwa razy więcej gotówki niż zakładaliśmy (znowu Beata musi wymieniać pieniądze), ale mamy paliwo na opuszczenie Uzbekistanu. Poczyniliśmy w ten sposób pewien krok do przodu, pokonując jedną z barier trzymających nas w Taszkencie.

W międzyczasie odbieram pocztę i wpada mi w oko wiadomość od turkmeńskiego biura podróży, której załącznikiem jest nowe pismo przewodnie (z zaktualizowanymi datami), podobne do tego, którym próbowaliśmy się postużyć w ambasadzie Turkmenii. Od razu zastanawiamy się, czy nie wrócić do pierwszego wariantu i nie ruszyć jednak przez Turkmenię do Iranu. W poniedziałek będziemy mieli poważny zgryz - bo przyjdzie nam załatwić dwie wizy na raz - turkmeńską i uzbecką.

A paszportów nie da się przecież podzielić. Nie mniej - na razie nie rezygnujemy również z aplikowania o wizę kazaską, tak by mieć coś w obwodzie.

Mnie jeszcze udało się znaleźć mały warsztat blacharski, gdzie umawiam się na wizytę moją Dyskoteką. Jutro, znaczy się w niedzielę, przed godziną 11 mam być tutaj i będziemy razem ze spawaczami próbować ratować słupki w moim samochodziku.

Wracamy na krótki odpoczynek do hotelu. Wypada chociaż wziąć prysznic, bo upał dzisiaj dał się nam we znaki. A po wizycie w hotelu ruszamy na poszukiwanie polskiego kościoła, o którym wspominała nasza pani Konsul. Wynajmujemy więc taksówkę, by po raz kolejny przekonać się, że mieszkańcy Taszkientu, którzy dorabiają sobie wożąc ludzi po mieście, kompletnie tego miasta nie znają. Nie dość, że kierowca nie zna ulic z nazw, to jeszcze myli kościoły i zamiast do polskiego zawozi nas do niemieckiego kościoła luterańskiego. W sumie to dobrze się złożyło, bo tą małą świątynię również chcieliśmy zobaczyć, nie mniej - jak na razie z planowanej wizyty nic nie wyszło. Po zobaczeniu niemieckiego kościółka, idąc za radami napotykanych po drodze mieszkańców, próbujemy spacerkiem dotrzeć do naszego kościoła. Po kilku próbach, zamiast do kościoła docieramy do małego muzeum archeologicznego Ming O'rik, które - jak chyba wszystko w tym mieście, powstało z inicjatywy pierwszego prezydenta republiki - Islama Karimowa.

Pewnie nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie fakt, że jedyna tablica o tym miejscu informuje wyłącznie o tym fakcie, brak natomiast jakichkolwiek informacji turystycznych czy historycznych. Na szczęście opiekun tego miejsca próbuje zastąpić przewodnika i podaje nam garść różnych informacji. Nie mniej - w dalszym ciągu nic o tym nie wiemy, no może z wyjątkiem tego, że głównym sponsorem tego miejsca jest rosyjska firma LUKOIL. W tym miejscu, niejako przy okazji, udaje się nam zgubić Janusza. Na dalsze poszukiwania ruszam tylko w asyście Beaty, mając nadzieję, że Januszowi uda się dotrzeć na miejsce i że razem zobaczymy polski kościół.

Po długim błądzeniu w końcu docieramy na właściwe miejsce. Pierwsze, co udaje się nam zobaczyć to mały obelisk poświęcony Polakom, którzy z różnych rąk zginęli w 1942 roku i są pochowani na terenie Uzbekistanu.

Na obelisku znajduje się taki hołd:

**W hołdzie tysiącom
POLAKÓW
żołnierzom
Armii Polskiej
na wschodzie
gen Wł. Andersa
osobom cywilnym
byłym jeńcami więźniom
sowieckich łagrów
zmarłym w 1942 r.
w drodze do ojczyzny
spoczywającym
w uzbeckiej ziemi
cześć i pamięć**

A kościół? Cóż - z nazwy on tylko polski, a wg historycznej tablicy - także zbudowany rękami polskich więźniów w drugiej połowie XIX w. Jest to parafia rzymsko - katolicka, w której msze odprawiane są po rosyjsku, angielsku, a także - co ciekawe - po koreańsku. Niestety - mimo, że parafia prowadzona jest przez polskich księży - polskiego języka na tablicy informacyjnej nie udało mi się odnaleźć.

Na zakończenie dnia wybieramy się na małą, skromną kolację, w dość obskurnym lokaliku. Na szczęście pyszne jedzenie rekompensuje nam brak wygód. Łyżki dziegiu dodaje tylko rachunek, który tutaj opiewa na kwotę prawie dwukrotnie wyższą, niż zwykle.

Dzień sześćdziesiąty

30 maj 2010

Niedziela w Taszkencie. Nie mamy już specjalnie pomysłów na nasz przeciągający się w tym mieście pobyt. Przymusowy postój i nerwówka z tym związana daje się nam wszystkim we znaki. Humory raczej przeciętne i daje się to odczuć.

Dzisiaj zaplanowany jest dzień serwisowy dla Dyskoteki. Po śniadaniu zostawiam całą trójkę w hotelu i ruszam do warsztatu, gdzie o 11.00 jestem umówiony ze spawaczem na próbę reanimacji słupków nadwozia. Podczas jazdy w miejscach pęknięć pojawiają się już takie wibracje, że mam obawy czy nie doprowadzi to do kolejnych zniszczeń. Niestety - w dalszym ciągu nie udaje mi się znaleźć „argonowej swarki”, więc muszę się zadowolić tym, co jest. A jest stary półautomat, którego operator próbuje łączyć elementy nadwozia bez używania maski spawalniczej. Dziwny zwyczaj. Nie mniej - po dwóch godzinach i odchudzeniu portfela o 20\$ pęknięcia są załatwane. Jak? Cóż - chłopaki na W00 pewnie ręce by załamali, ale tutaj podobno to bardzo dobry spawacz. A przy okazji spawania, dodatkowo wymieniam filtry paliwa i powietrza. Po demontażu starych (zwłaszcza powietrza) potwierdziła się konieczność ich wymiany.

Kolejny punkt serwisowego programu to wizyta na małym warsztacie, zakup oleju przekładniowego i wymiana oleju zarówno w skrzyni biegów jak i w reduktorze. Gdy pracownicy warsztatu dokonują wymiany oleju, ja próbuję wymienić nakrętki mocujące dyferencjał, bo pojawiają się nowe wycieki (ścięte gwinty w nakrętkach). Mam nadzieję, że coś to pomoże, ale tak naprawdę dowiem się dopiero w momencie, gdy wyjedziemy na trasę. Na razie przecież samochody mają niezaplanowany urlop na hotelowym parkingu.

Słońce już przygrzewa niemiłosiernie. W cieniu warsztatu temperatura dochodziła dzisiaj do 35 stopni. A w słońcu - nawet o tym nie myślę. Wracam więc do hotelu, biorę szybki prysznic w zimnej wodzie i próbuję moje towarzystwo namówić na jakiś spacer. Na szczęście Beata jest głodna więc razem z Januszem bierzemy we trójkę taksówkę i wracamy w rejon meczetu Hazrat Imama, gdzie parę dni temu Beata podglądała pracę w kuchni, i gdzie zaplanowała wrócić na obiad. Dzisiaj mamy zamiar zjeść lokalny „plow” (pilaw), czyli danie z ryżem nieco przypominające paelę z Walencji. Niestety - w dniu dzisiejszym tego dania nie serwują, a jako, że nie zamierzamy z niego zrezygnować, to ruszamy spacerkiem na bazar Chorsu, z nadzieją, że tam potrawę jednak dostaniemy.

Leniwym spacerkiem, bo na dworze słońce grzeje niemiłosiernie, mijamy „staryj gorod”, gdzie życie biegnie zupełnie innym tempem niż w reszcie uzbeckiej stolicy i docieramy w pobliże bazaru, gdzie na zielonym placu zadomowiły się bociany. Te wdzięczne ptaszki chętnie pozują nam do zdjęć.

A na bazarze bez problemów znajdujemy część barową, gdzie przy jednym ze stoisk młody chłopak czuwa nad blaszaną kadzią, w której skwierczy „plow”. W tej odmianie jest to podsmażany na oleju ryż z kawałkami baraniny, warzyw i bakalii. Nie jest to może zbyt wykwintne danie, nie mniej my pochłaniamy je ze smakiem. Jesteśmy porządnie wygłodzeni, od śniadania nic nie jedliśmy, a jest już przecież późne popołudnie. Po krótkiej przerwie obiadowej spacerkiem przemierzamy raz jeszcze bazar, po czym taksówką wracamy do naszego hotelu.

Reszta wieczoru minęła nam przy komputerach w kawiarni hotelu Grand Orzu, gdzie wykorzystując łącze internetowe kontaktujemy się z bliskimi.

A jutro - mamy nadzieję - wszystko się wyjaśni. Dosyć mamy już tej nerwówki.

Dzień sześćdziesiąty pierwszy

31 maj 2010

Zgodnie z planem musimy wstać bardzo wcześnie, by o sensownej porze zapisać się na listach przed ambasadami. Dzielimy się na dwie grupy - ja sam jadę pod ambasadę turkmeńską, podczas gdy pozostała trójka rusza pod kazaską. Teraz już nie mamy wyboru - musimy zacząć organizować alternatywną ścieżkę ewakuacji. A to właściwie jest jedyna droga, pytanie tylko, czy uda nam się sprawę załatwić w trybie przyspieszonym.

Punkt 6.00 jestem pod ambasadą, lista już leży a mój nr to 8. Zastanawiam się, czy osoby poprzedzające moją grupę w ogóle dzisiaj tu były? A może ta lista leży od piątku? Nie mniej - wpisuję nasze nazwiska na listę i za namową Janusza jadę do reszty grupy, do kolejki pod ambasadą Kazachstanu. Tutaj jest już duża grupa oczekujących, a nasze nr zaczynają się od 12. Decydujemy się na czekanie, przy czym wpierw ja z Beatą, a później Rysiek - wracamy na chwilę do hotelu, musimy przynajmniej coś przegryźć. Zgodnie z tabliczką wywieszoną przed wydziałem konsularnym ambasada powinna przyjmować petentów w godzinach od 9.00 do 12.00. Powinna, bo urządowanie rozpoczyna na krótko przed godziną 10, przez co jesteśmy już na starcie w plecy. Z różnych powodów, przede wszystkim z niepewności czy uda się coś dzisiaj załatwić, w grupie zaczyna panować nerwówka, podsycana jeszcze przez ogólny nastrój tłumu. W końcu coś pęka i zaczynam zbierać po głowie od Janusza. Coś w nim pękło i strumień żalu polał się w moją stronę. Mimo, że dzielnie broniła mnie Beata, to i mnie nerwy w końcu puściły i Janusz również ode mnie się nasłuchał. Dzisiaj po raz pierwszy miałem wrażenie, że moi przyjaciele oczekują ode mnie takiej organizacji i reżimu, jaki zapewniają biura podróży, a także odczułem, że mają do mnie pretensję za złą organizację. Cóż - nie jestem zawodowym organizatorem turystyki, a mentalności urzędników krajów Centralnej Azji dopiero się uczę. Podobnie zresztą jak oni.

Na szczęście udaje się mnie i Beacie wejść do konsulatu, gdzie po krótkim zreferowaniu naszych problemów - o dziwo - nie zostajemy odepchnięci, tylko musimy uzupełnić dokumenty i nasze wnioski zostają przyjęte. Tyle, że nie możemy zostawić naszych paszportów, bo istnieje pewne prawdopodobieństwo, że będą potrzebne dzisiaj w OWIR'ze. Umawiamy się z pracownicą konsulatu, że możemy donieść dzisiaj do 19.00 nasze dokumenty i wtedy nasze podania zostaną jutro rozpatrzone, co dałoby szansę na jutrzejszy odbiór wiz.

W nieco lepszych humorach kierujemy się do ambasady Turkmenistanu. Gdy docieramy na miejsce jest już południe i okazuje się, że dzisiaj lista petentów nie ma wzięcia, strażnik wpuszcza do ambasady wg własnego widzimisie. Zaczyna być gorąco. Moja grupa zdecydowała się udać na spoczynek pozostawiając mnie bez wsparcia z tłumem ludzi przed ogrodzeniem ambasady. Jedynym „nie-wrogiem” był poznany tutaj już wcześniej Francuz Bruno, z którym jedziemy na tym samym wózku. Niestety - tutaj Januszowi nie udało się (mimo wcześniejszych deklaracji) skorumpować strażnika - i nie dajemy rady przedłożyć dokumentów. Tak więc generalnie wiza turkmeńska, a co za tym idzie również nasza wizyta w Turkmenistanie, oddala się coraz większymi krokami. Ale co zrobić? Tutaj, po kolejnej porażce, moje nerwy puściły już w całości. Zbyt luźne podejście moich przyjaciół, a także moja głupota, spowodowały, że nic nie załatwiliśmy. Niepotrzebnie rano pojechałem do kazaskiej ambasady, trzeba było tutaj pilnować kolejki.

W bardzo złych humorach wracamy do hotelu Grand Orzu, gdzie jesteśmy umówieni z pracownicą biura DOLORES, które załatwia nam wizę uzbecką. I tutaj niepomysłne wieści. Nie rozpatrzono jeszcze naszego podania, tak więc dalej trwamy w zawieszeniu. Za to możemy zostawić paszporty w kazaskiej ambasadzie, więc spacerkiem z Beatą udaję się tam z powrotem. Rysiek deklaruje się, że mimo wszystko spróbuje jeszcze zaatakować ambasadę Turkmenii, a nuż się uda. Niestety - nie udaje się. Trudno.

Cóż było zrobić? Humory i samopoczucie zdruzgotane, tak naprawdę cały dzień tylko po sobie warczymy. Wieczór każde z nas spędza osobno. Troszkę po złości, a troszkę dla odreagowania. Ja większość wieczoru spędzam przy komputerze, w końcu znalazłem taki dostęp do Internetu, że mogę powysyłać zdjęcia. Zajęło mi to prawie 3 godziny.

A późnym wieczorem wybieram się do fryzjera. Wypadałoby się w końcu ogolić i ostrzyc. Zarosłem nieco i wyglądam okropnie, a inna sprawa - w taki upał to mało komfortowe chodzić z brodą. Trafiam do pobliskiego zakładu fryzjerskiego prowadzonego przez dwóch młodych chłopaków. Mój fryzjer nosi imię Szjerdod i tytuł „mistrza strzyżenia” (tak przynajmniej wynika z otrzymanej wizytówki). Chłopak jest młody, ma dwadzieścia kilka lat, a goli mnie brzytwą z wielką wprawą. Później jeszcze strzyżenie, masaże, balsamy i jeszcze kilka innych czynności, dla których nazw mi brak. Pomnę tylko, że takiej ilości chemii na mojej twarzy nie było przez ostatnią dekadę. Ale co tam, raz się żyje, a dzisiaj chwila relaksu i odmiany była jak najbardziej potrzebna. Odświeżony, odprężony i ostrzyżony zaczynam patrzeć na dzisiejszy świat w nieco zaróżowionych okularach. Tchnęło optymizmem, mimo, że na fotelu fryzjerskim spędziłem dobrze ponad godzinę. I mała dygresja - zaskoczony jestem czasem, jaki młodzi ludzie spędzają u fryzjera. Jeszcze dziewczyny / kobiety bym zrozumiał, ale podczas mojej wizyty byli tu sami młodzi chłopcy. A to co fryzjerzy robią z ich włosami również jest dla mnie zaskakujące. Ale widać, „matuzalem” nie nadążający za duchem czasu się ze mnie robi.

Dzień sześćdziesiąty drugi

1 czerwiec 2010

Wczorajszy dzień niestety nie należał do najlepszych. Nie dość, że nic nie udało się załatwić to nastroje również padły. Pojawiło się pewne napięcie w naszych wzajemnych relacjach. Niestety - dzisiaj od samego rana również jest to zauważalne. Niestety - takie sytuacje są nieuniknione, bo jesteśmy tylko ludźmi. I nie zawsze wszystko wychodzi tak jakbyśmy chcieli, a także dlatego, że nie da się wszystkich zadowolić. Reasumując - dzisiaj rozpoczęliśmy trudny dzień.

Podczas gdy całą pozostałą trójka poszła pod kazaską ambasadę pilnować kolejki, ja ruszyłem na spacer po mieście. Potrzebny mi był czas na odreagowanie. Nerwy zżerały mnie już od wczoraj, więc taki luz był potrzebny. Po krótkim spacerze wybrałem się do Grand Orzu, „polować” na pracownicę biura, która miała nam przekazać wieści z OWIR’u. Polowanie trwało blisko 2 godziny, co skwapliwie wykorzystałem na korespondencję ze znajomymi. W końcu trudno określić, kiedy znowu będę miał dostęp do sieci i maila. Niestety wieści z OWIR’u nie były pomyślne - na razie wiemy tylko tyle, że jutro o 11.00 mamy dostarczyć przez biuro nasze paszporty. A co dalej? Dowiemy się jutro. Po takich wieściach ruszam spacerkiem pod ambasadę, gdzie koczują moi przyjaciele. W czwórkę staramy się ułożyć jakiś sensowny plan działania. Staje na tym, że Beata czeka tutaj - ją rozpozna pani z okienka, Rysiek wraca pod ambasadę Turkmenii (wciąż się łudzimy, że dostaniemy te wizy) a ja z Januszem ruszamy na poszukiwanie bankomatów, które nie dość że będą obsługiwać nasze karty, to jeszcze wydadzą nam dolary a nie sumy. W Narodowym Banku Uzbekistanu znajdujemy bankomat obsługujący karty VISA, niestety wydaje tylko sumy. Wiemy, że dolarowe bankomaty pracują w Hotelu Uzbekistan, do którego docieramy po półgodzinnym spacerze. Niestety VISA w ogóle nie pracuje, a MASTERCARD ma kłopoty ze współpracą z Janusza kartą. Wypada zaznaczyć, że w holu stoją dwa różne bankomaty obsługujące inne karty. Tutaj tak chyba prościej. Wracamy więc do Beaty, z którą grzecznie czekamy na otwarcie wydziału konsularnego.

Jak to w dobrym, konsularnym zwyczaju oficjalna godzina przyjęć nijak się ma do rzeczywistości. Okienko otwierają dopiero z ok. 10 min opóźnieniem (co i tak jest wyśmienitym wynikiem), a my jako pierwsi w kolejce wchodzimy od razu. Niestety - naszych wiz jeszcze nie ma, pani dopiero zaczyna je przygotowywać. W międzyczasie do konsulatu wchodzi trzy grupy francuskie, w tym jedna mocno już „śmierdzących” rowerzystów. Nas mało szlag nie trafił, bo cały dzień straciliśmy w kolejce, a oni weszli do konsulatu jak gdyby nigdy nic. My jednak nie nabraliśmy wprawy w postępowaniu z lokalnymi urzędnikami i milicją. Francuzi jak widać są w tym zdecydowanie lepsi. W końcu dostajemy w okienku wizy (koszt to 30\$ od łębka) i pędem jedziemy taksówką do Ryśka. W międzyczasie, już w taksówce, Beata przypomina sobie, że w sejfie zostawiła torebkę, więc wysiada z taryfy i wraca do ambasady.

A pod ambasadą turkmeńską bez zmian. Znowu kolejka i znowu - mimo drugiej pozycji na liście kolejkowej - zostajemy przed zamkniętą bramą. Ogrodnik otwierający bramę z uśmiechem na ustach informuje nas, że dzisiaj nie wejdziemy, że możemy przyjść jutro. Pod tą ambasadą panują jakieś dziwne zwyczaje.

Generalnie podejrzewamy, że oczekują od nas po prostu kolejnych łapówek, których już nie chcemy płacić. W końcu to już chyba nasza siódma w tym miejscu wizyta. Tym razem się poddajemy. Nie zamierzamy tu wracać, chyba, że jakimś szczęśliwym trafem władze uzbeckie dadzą nam wizy z wystarczającym okresem do pozyskania i tej wizy. Ale cuda się przecież nie zdarzają.

Wracamy jak niepyszni do hotelu. Po krótkim odpoczynku, źli i rozżaleni wybieramy się jeszcze do Grand Orzu, gdzie w recepcji zostawiamy paszporty. Może jutro w końcu uda się przepchnąć OWIR. W drodze powrotnej wступujemy do jednego ze znanych barów na pyszne szaszłyki. Najedzeni, w nieco lepszych humorach wracamy do hotelu.

Tak kończy się kolejny dzień w Taszkencie.

Dzień sześćdziesiąty trzeci

2 czerwiec 2010

Dzisiejszy dzień dla nas to oczekiwanie na decyzję. Może w końcu coś drgnie. Czy na pewno? Czas pokaże. Ale nadzieje należy mieć. Spotykamy się wszyscy rano na stołówce, na której - jak co dzień - walka o jedzenie. Tutaj panuje „wolna amerykanka”, kto pierwszy ten lepszy. Czasem mamy wrażenie, że kelnerki muszą mieć niezły ubaw i celowo nieśpiesznie donoszą kolejne porcje. Cóż zrobić? Taki kraj. Tu wszyscy zdają się mieć czasu w nadmiarze. I nikogo nie specjalnie interesuje, że inni mogą go nie mieć.

Po śniadaniu wyruszamy na poszukiwanie kluczy z Defendera. Janusz je gdzieś musiał zapodziać i wypada zrobić „marszrutkę” jego wcześniejszymi ścieżkami. Na szczęście los tym razem się do nas uśmiechnął i w pierwszej restauracji „U Derwisza” właścicielka z uśmiechem przywitała Beatę i dała nam klucze. Dzień zaczyna się pomyślnie.

Spacerkiem udajemy się do stacji metra Ojbiek skąd podziemną kolejką jedziemy jedną stacją do przystanku Kosmonautów. Tutaj wysiadamy z kolejki tylko po to, by w spokoju obejrzeć stację metra. Ten przystanek poświęcony jest podbojowi kosmosu. Na ścianach tunelu umieszczone zostały płaskorzeźby upamiętniające nie tylko Gagarina czy Tierieszkową, ale także Ikara (choć akurat on nie wiele miał z kosmosem wspólnego), Ciołkowskiego czy programy Interkosmos oraz Sojuz-Apollo. Mimo, że nazwiska i nazwy przypominają Sowieckie imperium, to jednak ta tematyka w Uzbekistanie źle się kojarzy. Wręcz przeciwnie - te postacie w dalszym ciągu zasługują tu na status bohaterów. Kolejna stacja to Uzbekistan. Ponownie przyglądamy się olbrzymim kinkietom, przy których pociągi metra jakby traciły na gabarytach. A potem z przesiadką na Aliszer Nawoj ruszamy do stacji Bunyodkor, która zlokalizowana jest na dawnym placu Przyjaźni Narodów. Ogromny plac dookoła którego dominuje post-sowiecka zabudowa. Stąd spacerkiem udajemy się do parku Nawoj, który jest jakby odpowiednikiem chorzowskiego WPKiW czy warszawskich Łazienek. Jest to miejsce wypoczynku i spotkań mieszkańców. Pierwszym obiektem jest stara medresa Abulkasima, która obecnie pełni rolę centrum kultury i sztuki. W dormitoriach zlokalizowane są pojedyncze warsztaty rzemieślnicze, w których zarówno profesorowie jak i studenci prezentują swoje rękodzieło.

Po krótkiej wizycie w tym miejscu nasze portfele nieco się odchudziły, za to z drugiej strony - powiększyły się nasze skromne nabytki - mamy dwie całkiem fajne akwarele i zdobione puzderko.

W parku znajduje się mały amfiteatr, kilka kanałów, postument sporych gabarytów, z którego spogląda Alsiszer Nawoj no i spory staw, wokół którego zlokalizowane są wszystkie atrakcje tego miejsca - kilka karuzel, strzelnica, restauracyjki i bary. W jednej z takich knajpek zatrzymujemy się i konsumujemy napoje i lody na świeżym powietrzu.

A potem ruszamy w kierunku Grand Orzu, gdzie przy komputerach czekamy na Szahnozę i wieści z OWIR'u. Po kilku godzinach pojawia się z następującymi wieściami - milicja przyjęła nasze dokumenty, wizy będą jutro popołudniu, koszt jednej - 75\$. No - to już coś, mimo, że liczyliśmy po cichu, że dzisiaj uda się opuścić stolicę Uzbekistanu. A tak przyjdzie nam zostać tutaj jeszcze jeden dzień. Wracamy do naszego hotelu i wszyscy razem zastanawiamy się nad naszymi możliwościami. Wstępnie znamy kosztorys pozyskania wiz turkmeńskich, liczymy koszty pobytu w poszczególnych krajach - i wychodzi nam, że wariant przejazdu przez Turkmenię, Iran i Turcję będzie nas kosztował ok. 3000 dolarów i 500 euro, z kolei przejazd przez Kazachstan i Rosję to równowartość 400 \$ i 300 euro. Długo dyskutujemy, każde z nas ciągnie do Turkmenistanu i Iranu, ale rozsądek bierze górę. Wstępnie ustalamy, że jednak powrót przez Kazachstan będzie rozsądniejszy. Raz, że będziemy dużo spokojniej podróżować (nie będą nas limitować krótkie terminy wizowe), a dwa - zarówno w Uzbekistanie jak i Kazachstanie czas będziemy mieli jak wykorzystać.

Pozostaje tylko czekać na nasze paszporty i wizy. Jeśli rzeczywiście otrzymamy je w dniu jutrzejszym i to z datą ważności 10 czerwca, jak sugerowała Szahnoza, to będziemy mieli jeszcze nieco czasu na zobaczenie najważniejszych miejsc w Uzbekistanie.

Dzień sześćdziesiąty czwarty

3 czerwiec 2010

Dzisiejszy dzień to oczekiwanie. Nerwówka. Ale wyboru nie mamy. Wczoraj przecież nasze paszporty w końcu wylądowały w OWIR'ze, więc pozostaje nadzieja, że otrzymamy wizy. Mając to na względzie porządkujemy nasze pokoje, pakujemy samochód i wybieramy się - mamy nadzieję, że po raz ostatni na miasto.

Wybieramy się na bazar Chorsu. Chcemy jeszcze kupić kilka pamiątek z podróży. Mnie wpadły w oko lokalne maty do siedzenia na podłodze (w Polsce trzeba będzie tylko zamówić jakieś gąbczaste wypełnienie), a dla Tomka muszę poszukać jakiegoś lokalnego, uzbeckiego wdzianka. Na bazarze jest ogromny wybór, więc zajęcia będziemy mieli na pół dnia. Czyli mniej więcej na tyle ile musimy czekać na Szahnozę i nasze paszporty. Na bazarek docieramy z hotelu taksówką, wymieniamy dolary na sumy i przystępujemy do myszkowania po straganach. Dość szybko znajdujemy fajne maty, mój pomysł przypadł również Beacie do gustu więc kupujemy cztery dwumetrowe maty, bez wypełnień. Tak łatwiej je będzie do Polski przetransportować. Później szukamy ubranek i innych bibelotów.

Dla Tomka znalazłem „prawie-sułtański” strój, który - mam przynajmniej taką nadzieję - mu się spodoba. A jako ciekawostkę kupuję „czapkę” na czajnik z herbatą. Ot - taka lokalna ciekawostka.

Koło pierwszej po południu z powrotem jesteśmy w Grand Orzu, gdzie z jednej strony czekamy na Szahnozę, a z drugiej - wylapujemy w Internecie koordynaty na ciekawostki w Uzbekistanie i Kazachstanie, licząc, że może się jeszcze podczas naszej podróży przydadzą.

Czekając na wieści z OWIR'u wybieramy się do przy hotelowej restauracji. Dzisiaj czwartek, więc serwują płow (zwany również osz). Dostajemy po miseczce ryżu z mięsem i warzywami. Cały obiad był wyjątkowo smaczny, serwowany z sałatkami, kompotem i herbatą. A to wszystko za 20 tyś. sumów co jest równowartością 2,5 \$ na osobę.

Koło godziny 15 przychodzi nasza opiekunka, niestety, ze złymi informacjami. Nie ma wiz. OWIR nie wydał w dniu dzisiejszym paszportów z wizami. Jedyna informacja, jaką otrzymaliśmy, to może będą jutro. Szahnoza również wygląda na zrezygnowaną. A my - kontynuujemy nasz przymusowy postój w Taszkencie.

A na dodatek - cały dzień dzisiaj leje rzęsisty deszcz, z krótkimi przerwami. Smutny dzień. Tylko Janusz próbuje nadrabiać tą beznadziejną sytuację miną.

Cóż nam pozostaje zrobić? Szahnoza organizuje nam noclegi - Janusz z Ryśkiem wracają do Orzu, podczas gdy ja z Beatą zostajemy w droższym Grand Orzu. Czekamy w hotelowej kawiarni aż przestanie padać, a opady są gwałtowne. Gdy w końcu niebo się rozpozadza chłopaki ruszają do swojego hotelu a my taksówką ruszamy w kierunku wieży telewizyjnej. Przejazd taksówką jest już oryginalny, bo naszym kierowcą jest tym razem kobieta, która prowadzi swojego Matiza wyjątkowo spokojnie i delikatnie. Nie tak nerwowo, jak jej lokalni koledzy. Docieramy do wieży telewizyjnej. Jest to najwyższy budynek w Uzbekistanie i pewnie jeden z wyższych w tym rejonie świata. Wieża ma 375 m wysokości. Sama wieża może nie grzeszy urodą, ale z drugiej strony od tego typu obiektów trudno wymagać jakiegoś „powalającego” wyglądu. Wieża składa się jakby z trzech głównych części. Pierwsza to galeria z restauracją na wysokości ok. 100 m, druga to platforma z urządzeniami technicznymi na wysokości ok. 250 m, a trzecia to sam maszt. Tylko pierwsza część przeznaczona jest dla normalnych „zjadaczy chleba”, czyli takich turystów jak my. Ale podczas oczekiwania na windę czeka nas mała niespodzianka - zaczepia nas pracownica tego kompleksu i pyta, czy za drobną opłatą (znaczy się 7000 sumów od łębka) nie chcielibyśmy wjechać znacznie wyżej. Bez zastanowienia przytakujemy i wpierw zwykłą windą, a potem windą służbową wjeżdżamy na wysokość blisko 220 m, gdzie z otwartej platformy zrobionej ze stalowych prętów podziwiamy panoramę miasta i konstrukcję wieży. Widoki przednie, tylko ta wysokość przyprawia o ból głowy. Z wysokości ok. 200 m wszystko wydaje się takie malutkie. Obchodzimy platformę dookoła i po kilkunastu minutach zjeżdżamy z naszą „przewodniczką” na poziom turystyczny. Tutaj widoki już nie są tak imponujące, zwłaszcza, że można je tylko obserwować przez szyby. Ale my już swoje widzieliśmy. Za to tutaj, w kawiarence, poznajemy dwóch młodych studentów anglistyki, którzy próbują swoich umiejętności na nas. Nazir i Abraham namawiają nas do wspólnego zdjęcia. Czemu nie ...

Z górnego poziomu widzieliśmy pewien kompleks - park i budynek przypominający swoim wyglądem meczet. Po zjechaniu szybkobieżną windą na poziom „0” i opuszczeniu ośrodka telewizyjnego spacerkiem udajemy się właśnie do tego parku. A tutaj znajduje się pomnik i muzeum poświęcone Ofiarom Represji. Niestety - mamy wrażenie, że to muzeum jeszcze nie jest otwarte. Po krótkim spacerze kierujemy się do centrum. A kolejna ulewa wymusza skorzystanie z taksówki i wcześniejszy powrót do hotelu.

Dzień sześćdziesiąty piąty

4 czerwiec 2010

Kolejny poranek w Taszkencie. Powtarzamy schemat dnia jak co dzień. Tyle, że tym razem my w Grand Orzu, a chłopaki w Orzu. Nie mniej - jak zwykle zaczynamy od śniadania, podczas którego jesteśmy raczeni przez obsługę hotelowej restauracji polską telewizją muzyczną. Znaczący mamy kanał VIVA. Muzyka jest ok. Ale to, co wypisują na pasku podczas emisji teledysków mnie całkowicie rozbija. Widać, że dawno nie oglądałem telewizji i nie jestem na bieżąco.

Po śniadaniu odwiedzamy chłopaków w drugim hotelu. Oczywiście nie obyło się bez wpadki - na pewniaka wchodzę do pokoju nr 27, a tam - niespodzianka - trzech Chińczyków. Chłopaki kwaterują w naszym pokoju nr 28. Po krótkiej dyskusji udaje się nam namówić Janusza na wizytę w Muzeum Historii Uzbekistanu (zlokalizowane w pobliżu pałacu Romanowów). Na miejsce docieramy - a jak - taksówką. Budynek z zewnątrz przypomina sowieckie molochy, wystrój wnętrza również ma podobną tonację. Zaskakuje nas kasa - ceny biletów to 4000 sumów, ale rekord to bilet fotograficzny, który kosztuje 20.000 sumów (równowartość 10\$). Zgroza - aparaty rzecz jasna chowamy do torby, eksponaty muzeum, mimo, że w całkiem niezły i czytelny sposób przedstawiają kolejne historyczne etapy, nie są warte tych pieniędzy i nie ma właściwie potrzeby uwieczniania ich na zdjęciach. Bez aparatów obchodzimy niespiesznie poszczególne piętra i działy, w których poznajemy historię tych ziem, począwszy od epoki kamienia i brązu, po przez „złoty wiek” czyli czasy Amira Timura, a kończąc na współczesnych osiągnięciach niepodległego Uzbekistanu.

Po zakończeniu muzealnej wizyty, obydwaj wybiliśmy z głowy Beacie dalsze próby „odchamiania” nas w dniu dzisiejszym. Ta dziewczyna bowiem miała już w głowie plan, podług którego mieliśmy jeszcze odwiedzić galerię. Nic z tych rzeczy. Zamiast „ukulturalniania” ruszyliśmy spacerkiem w kierunku pomnika ofiar trzęsienia ziemi z 1966 r. Wielka tragedia - to na pewno, ale pomnik raczej nie porywa. Zaszliśmy więc do pobliskiej kawiarenki, gdzie czas nam miło upływał w oczekiwaniu na wieści z OWIR’u. Do hotelu wróciliśmy spacerując wzdłuż kanału Anhor (dzielnie przypominającego rzeczkę), a następnie wzdłuż ulicy Babur. Podchodząc już niemalże pod sam hotel otrzymujemy sms-em wiadomość od Szahnozy, że nasze paszporty będą o 15.30. Do wyznaczonej pory mamy jeszcze ponad 30 min, a że jesteśmy porządnie głodni to decydujemy się na wizytę w restauracji, w której wczoraj jedliśmy płow. Dzisiaj dla odmiany zamawiamy „lagman”, czyli makaron z mięsem, warzywami i dość rzadkim sosem. Nie mniej - danie jest przepyszne. Parę minut po wyznaczonej porze przyjeżdża zadowolona Szahnoza z naszymi paszportami.

Sprawdzam wizey - wszyscy mamy wbite wizey typu EXIT (znaczy się - wyjazdowe), ale z datami do 10 czerwca, co jednak umożliwi nam zwiedzenie niewielkiej części Uzbekistanu. Zadowoleni z pozytywnego zakończenia całej akcji regulujemy ostatnie należności, żegnamy się z ekipą hotelu i naszą opiekunką, pakujemy graty do samochodów i ruszamy w drogę.

Nareszcie.

Kierujemy się na południe. Pierwszy cel - Samarakanda. Droga jest całkiem niezła, na całym odcinku praktycznie dwu-jezdniowa, więc poruszamy się bardzo sprawnie. Gdzieś w odległości ok. 90 km za Taszkientem, zgodnie z informacjami wyczytanymi na jednym z forów internetowych, zjeżdżamy z głównej drogi by sprawdzić, czy w okolicach miejscowości Chinoz znajduje się przejście graniczne. Jest, pracuje, więc uspokojeni wracamy na główną drogę. Podróż upływa w miarę spokojnie, chociaż mamy bardzo nieprzyjemne zdarzenie. W jednej z miejscowości na drogę pod moją Dyskotekę wtargnęło duże psisko, którego nie udało mi się - mimo usilnych starań - w żaden sposób ominąć.

Późnym wieczorem docieramy do Samarakandy, gdzie kwaterujemy się w całkiem sympatycznym hotelu Zilol Baht. Niestety - ze względu na „registrowkę” - do opuszczenia Uzbekistanu prawdopodobnie zmuszeni będziemy do nocowania w hotelach. Ale dzisiaj jest to nam na rękę, jesteśmy zmęczeni, bo dzień przecież był bardzo intensywny.

Przed snem ruszamy na spacer, który kończy się kolacją w przydrożnym barze, gdzie serwowane są szaszłyki, piwo SARBAST (ulubione Janusza) i prawie doskonałe wino marki „Mona Lisa”. Nieco podchmieleni, najedzeni, w doskonałych humorach wracamy do hotelu.

Dzień sześćdziesiąty szósty

5 czerwiec 2010

Hotel spełnia wszystkie nasze oczekiwania z dużym zapasem. Nie można nic złego powiedzieć. Wymyśliśmy się, wyspaliśmy się. Tego nam przecież było trzeba po prawie dwutygodniowym lenistwie. Wstaliśmy wcześniej, tak by punkt 7.00 zameldować się na śniadaniu. Dzisiaj przecież długi dzień przed nami, musimy więc mieć siły.

Mimo wczesnej pory jest już bardzo ciepło. Temperatura skoczyła już powyżej 20 kreski na termometrze, a dopiero minęła 8 rano. Taksówkarz zawozi nas na bazar Siob, gdzie w pierwszej kolejności musimy pozyskać „diengi”, bez których tutaj ani rusz. Uprzedzono nas, że w Samarakandzie na każdym kroku będą opłaty. Po wymianie waluty trafiamy na tą część bazaru, gdzie sprzedawane są lokalnego wyrobu smakołyki. Kupujemy wyśmienitą chatwę. Palce lizać. A pamiętać należy, że ja akurat miłośnikiem chatwy przecież nie jestem.

Przy samym bazarku, dosłownie „za płotem” znajduje się monumentalna budowla. Jest to meczet Bibi-Chana. A po przeciwnej stronie zlokalizowane jest małe mauzoleum.

Zwiedzanie zaczynamy od tego drugiego, tutaj bowiem jeszcze nie dotarły chmary turystów i pielgrzymów. Wchodzimy po uiszczeniu opłaty - niematej zresztą, bo bilet dla obcokrajowca to 3000 sumów (1,50 \$). Troszkę to niesympatyczne, bo lokalni odwiedzający płacą prawie dziesięciokrotnie mniejszą kwotę. Ale co zrobić - zależało nam na odwiedzeniu tego miasta, więc przyjdzie chyba za to zapłacić. Zresztą opiekunka obiektu już zapowiedziała, że w meczecie opłata będzie jeszcze wyższa. Wychodząc z grobowca poznajemy kilka dziewczyn, mieszanek wioski położonej 50 km od Samarakandy. Chyba pierwszy raz były w mieście, ba - „inostralców” też widziały chyba pierwszy raz w życiu, bo zachowywały się jak narwane. Mamy z nimi kilka zdjęć, one z nami również. Fajne spotkanie.

W końcu wchodzimy do meczetu Bibi-Chana. To monumentalna budowla, nawet jak na ówczesne czasy. A pamiętać należy, że świątynia powstała przecież w 14 wieku. Niestety - tak naprawdę to jest to nieco zrujnowany obiekt. Lata świetności ma już dawno za sobą. Fronty budynków wyglądają na odrestaurowane, ale wnętrza - Niestety to obraz nędzy i rozpaczy. Zresztą - z tą budowlą problemy były podobno od samego początku. Obiekt powstał jakby na wyrost, budowniczości przeliczyli się we własnych możliwościach, czego efektem była ogromna budowla, która praktycznie od samego początku groziła zawaleniem. O olbrzymich wymiarach niech świadczy ten przykład - główna brama miała prawie 35 m wysokości. Na domiar złego, świątynia bardzo ucierpiała w efekcie trzęsienia ziemi, jakie miało tutaj miejsce pod koniec XIX w.

Powolnym spacerkiem kierujemy się na wschód. Na wzgórzu dumnie wznosi się, odrestaurowany staraniem pierwszego prezydenta republiki (skąd my to już znamy) meczet Hazrat-Hir. Niewielka świątynia z malutkim minaretem, ale rzeczywiście odrestaurowana z dużą dbałością. Tylko te opłaty. Wstęp do meczetu, wejście do minaretu. Coś mi się wydaje, że dzisiejszy budżet będzie mocno nadszarpnięty przez wstępy do „interesujących turystycznie obiektów”. Za to ze wzgórza, na którym stoi meczet, rozpościera się całkiem sympatyczny widok na starą część miasta.

Ruszamy dalej. Mijamy kompleks cmentarny i kierujemy się na obserwatorium Uługbeka, oddalone około 4 km. Decydujemy się na spacer, zwłaszcza, że okolica jest ciekawa. Droga wiedzie przez antyczną część miasta, zwaną Afrosiab. Niestety - upał jest już tak nieznośny, że z ledwością powłóczymy naszymi nogami nie zwracając uwagi na szczegóły. Docieramy w końcu do obserwatorium, ale tu czeka nas nieprzyjemna niespodzianka. Obserwatorium jest zamknięte, przechodzi chyba remont, a niezbyt sympatyczna pracownica zaprasza nas na otwarcie po 1 lipca. Przyciężki dowcip, ale co zrobić?

Wracamy taksówką do centrum. Kierowca wysadził nas na ulicy Registan, gdzie znajduje się chyba najważniejszy w całej Samarakandzie kompleks Registan. Kompleks ten, to tak naprawdę olbrzymi plac po którego trzech stronach znajdują się trzy monumentalne medresy - Uługbeka, Szer-dor (w wolnym tłumaczeniu - lwia) i Tilla-Cari (znaczy się „złotem przykryta”). W czasach Timura miejsce to tętniło życiem - kwitło tu życie uniwersyteckie i bazarowe zarazem. Dzisiaj zostało tutaj chyba tylko to drugie. We wszystkich trzech medresach gro pomieszczeń zajmują małe warsztaty i sklepiki z rękodziełem. Odwiedzamy wiele z nich podziwiając od czasu do czasu prawdziwe arcydzieła ludzkich rąk. Niestety - większość tych rękodzieł jest poza naszym finansowym zasięgiem.

Ceny sięgają setek dolarów, co jakby z definicji wyklucza zakupy w tym miejscu. Nie mniej panuje tu specyficzny klimat powodujący, że ruchy nasze stały się co najmniej leniwe. Oczywiście jest tu także kilka wystaw prezentujących osiągnięcia naukowe z czasów Timura oraz historię tych miejsc. Wrażenia robią na nas zdjęcia z lat 50-tych i 60-tych prezentujące stan obiektów, a właściwie ich zniszczeń. W dniu dzisiejszym Registan prezentuje się naprawdę wspaniale. Na każdym kroku jednak jesteśmy nagabywani przez przewodników, handlowców, ale także m.in. przez milicjantów oferujących za drobną opłatą widok z minaretu. Cóż pieniądz to władza - prawda?

Po zwiedzeniu kompleksu wypada zażyć chwili relaksu. Jesteśmy zmęczeni, ale przede wszystkim głodni. Znajdujemy lokalną knajpkę, rezygnujemy ze standardowego stolika na rzecz naszych ulubionych leżanek i zamawiamy jadło. Rysiek decyduje się na „siorbę”, Beata - plov, Janusz - szaszłyki a ja - lagman. Czyli cały przekrój menu tego baru. Na szczęście jedzenie jest smaczne, więc pochłaniamy je w zastraszającym tempie. Po obiedzie na godzinkę musimy się rozdzielić. Janusz z Ryśkiem zostają w barze, a ja i Beata wracamy na chwilkę do hotelu. Mnogość atrakcji spowodowała lawinę zdjęć, no i brakło miejsca na kartach - musimy nasze zdjęcia „zrzucić” w hotelu do komputera. Po godzince widzimy się znowu, chłopaki są wyraźnie zadowoleni, co znaczy, że spożycie SARBAST’a miało miejsce. My jeszcze łapiemy się na kawkę, a potem ruszamy w drogę.

Spacerujemy wzdłuż ulicy Registan i docieramy do skweru na terenie którego znajduje się małe mauzoleum Ruhobod. Niestety - nie udaje się nam dogadać z opiekunką, więc rezygnujemy ze zwiedzania na rzecz pobliskiej medresy na terenie której powstał mały bazar z rękodziełem. Próbujemy w spokoju pomyszkować, co - jak zwykle - kończy się zakupami. Tym razem Beacie udaje się nabyć „gustowną” torebkę, podczas gdy Rysiek zadowolili się owocem tykwy. A za bazarem znajduje się chyba najważniejsze mauzoleum w całym Uzbekistanie - mauzoleum Guri Amir. Miejsce jest szczególne, bowiem tutaj spoczywa m.in. Amir Timur - postać o wyjątkowej pozycji w historii Uzbekistanu. Całe mauzoleum architektonicznie przypomina typowy meczet. Z kolei za kompleksem znajduje się bardzo ładne, proste mauzoleum Ak-Saraj. Po dzisiejszym dniu można czuć przesyty co do uzbeckiej sakralnej architektury. Ale cóż - taka jest właśnie spuścizna historyczna tego kraju, to przetrwało niejedną zawieruchę. Nie mniej - przydałaby się jakaś odmiana. W poszukiwaniu tej odmiany ruszyliśmy spacerkiem w kierunku dawnej żydowskiej dzielnicy. Spacerujemy wąskimi uliczkami, gdzie prawie na każdym kroku jesteśmy zaczepiani przez dzieciaki wołające za nami „Hello”. Od czasu do czasu jesteśmy proszeni o zrobienie zdjęcia, czym wzbudzamy wśród dzieciaków wiele radości. Tak docieramy ponownie w pobliże bazaru Siob i kompleksu cmentarnego. Jako, że jeszcze nie jest zbyt późno wybieramy się do Szach-i-Zinda, zwanego aleją mauzoleów. Jest to kompleks zabudowy sakralnej zlokalizowany na wzgórzu cmentarnym, którego nazwa niezwykle trafnie oddaje charakter tego miejsca. Jest to rzeczywiście grupa mauzoleów ciasno budowanych jedno przy drugim tworzących specyficzną aleję. Wszystkie obiekty bardzo ładnie zdobione, większość pokrytych kolorową glazurą. Tylko spacer po schodach był nieco męczący.

Taksówką wracamy do hotelu. Mnie jeszcze czeka dzisiaj rewizja reduktora, z którego po wymianie ostatniej oleju zaczął uciekać mi olej. Na szczęście ubytek był niewielki i skończyło się tak naprawdę na dokręceniu korka oleju.

Wieczorkiem wybieramy się na kolację. Dzisiaj znowu trafiamy na całkiem sympatyczny lokal, tylko Janusz kręci trochę nosem - tutaj nie serwują jego ulubionego SARBAST'a. Obiady - kolacja była wyśmienita. Dostaliśmy mielone mięso serwowane z puree ziemniaczanym, kaszą gryczaną i ryżem, a także cały zestaw różnorodnych sałatek, doskonały kompot domowej roboty. A to wszystko za niespełna 3 \$ od łebka. Po kolacji nie byliśmy w stanie się ruszać, z biedą doczłotaliśmy się do hotelu i poszliśmy spać.

Dzień sześćdziesiąty siódmy

6 czerwiec 2010

Poranek w Samarakandzie. Tylko śniadanie i w drogę. Wyjeżdżamy z miasta, ale szybko orientuję się, że coś z kierunkiem podróży nie tak. Nawracamy i nasze GPS'y zaczynają sygnalizować właściwy kierunek jazdy. Mimo, że wyjechaliśmy bardzo wcześnie to od rana mamy spore problemy z narastającą temperaturą. Zapowiada się upalny dzień. Droga z Samarakandy do Buchary przypomina naszą „gierkówkę” (trasę szybkiego ruchu z Katowic przez Piotrków Trybunalski do Warszawy). Na całej długości jest to asfaltowa dwu-jezdniowa droga, wokół której jednak zlokalizowanych jest wiele wiosek i miasteczek. W jednej z takich wiosek wpadamy na milicyjny radar. Oczywiście zostajemy zatrzymani, bo w terenie zabudowanym, gdzie można jechać 70 km/h my jedziemy 82. Milicjant jednak szybko się orientuje, że ja tak naprawdę półprzytomny jestem i nie ma co specjalnie liczyć na konstruktywną rozmowę, więc sygnalizuje chęć otrzymania „podarka” i oddaje mi wszystkie dokumenty. Mój dzisiejszy tok myślowy jest bardzo, ale to bardzo ograniczony, pozwala tylko na odgrzebanie archiwalnego numeru czasopisma WYPRAWY 4x4, w której jest mój artykuł ze zdjęciami z Gruzji. Milicjant - o dziwo - jest bardzo zadowolony z tego upominku i szybko biegnie do kolegów pokazać co ma. A my - bez konsekwencji, ale już ostrożniej - jedziemy dalej.

Docieramy do Nawoj. To niespecjalnie ciekawe, przemysłowe miasteczko ma dla nas specyficzne znaczenie. Tutaj, w okolicach dworca kolejowego, znajduje się mały cmentarzyk. Polski Cmentarz Wojenny, na którym pochowano w 1942 r. ponad 400 Polaków. Cmentarzyk jest zadbane, a z rozmowy z jednym z okolicznych pracowników wynika, że regularnie ktoś przychodzi i dba o to miejsce, a dwa razy do roku (pewnie z okazji świąt państwowych) pojawiają się tutaj oficjalne polskie delegacje. W centrum cmentarzyka znajduje się mały obelisk z inskrypcją:

***Tu spoczywają POLACY
444 żołnierzy
Armii Polskiej
na wschodzie
gen Wł. Andersa
i osoby cywilne
byli jeńcy więźniowie
sowieckich łagrów
zmarli w 1942 r.
w drodze do ojczyzny
Cześć ich pamięci***

Rozglądamy się również za paliwem. Zatrzymujemy się co kilka, kilkanaście km na większych stacjach i dopytujemy o „soljarkę”. Niestety - w Uzbekistanie na krótko przed naszym przybyciem - wprowadzono reglamentację paliwa i tak naprawdę nigdzie nie można go kupić. Mijamy dziesiątki mniejszych i większych stacji - wszystkie są zamknięte. Ale na jednej szczęście się do nas połowicznie uśmiecha. Połowicznie, bo paliwo wprawdzie jest, ale możemy kupić raptem po 15 dm³. A taka ilość paliwa pozwala nam zrobić raptem 100 km. Ale lepszy rydz niż nic, więc kupujemy paliwo i to po zawyżonej w stosunku do urzędowej cenie 1500 sumów za 1 litr.

Docieramy do Buchary. Miasto już na pierwszy rzut oka robi na nas ogromne wrażenie. Mijamy wielką twierdzę, stalową wieżę ciśnień i zatrzymujemy się przy hotelu „Caravan”. Po krótkim rekonesansie w celu znalezienia zakwaterowania wracamy do pierwszego hotelu i tu zostajemy. „Caravan” oferuje najlepszy stosunek jakość - cena.

Pora jest jeszcze przyzwoita. Niedawno przecież minęło południe. No - przesadziłem - właściwie jest już koło 15. Poznawanie miasta zaczynamy, jak zwykle, od bazaru, na którym wymieniamy pieniądze. Beata jest rozrzutna, więc gotówka zużywa się nam w zastraszającym tempie. Nie mniej - przede wszystkim potrzebujemy zasilenia w gotówkę głównie z powodu konieczności opłat za wstępy. Jako pierwszy punkt dzisiejszego popołudniowego zwiedzania wybieramy Ark, czyli siedzibę królewską. Jest to budowla na kształt twierdzy czy zamku. Wewnątrz znajduje się między innymi mały meczet, w którym urządzona jest wystawa starodruków, sala koronacyjna i kilka pomniejszych budynków, w których obecnie zlokalizowane są tematyczne wystawy - archeologiczna i historii Buchary. Pierwszy zgrzyt mamy na wejściu - w kasie zamiast ustawowych 4000 sumów (a ta kwota jest 12x większa od biletu dla mieszkańców Uzbekistanu) kasjerka żąda od nas 6600 sumów od „łębka” po czym nie daje nam biletu, tylko jakiś odręczny kwitek, zabrany zresztą zaraz przez kontrolerkę biletów. Mamy wrażenie, że panie w ten sposób dorabiają sobie do pensji. Ale co robić? Awanturę? Można, ale wtedy stracimy pół dnia na wyjaśnienia, a czasu na poznanie Uzbekistanu i tak przecież nie mamy. Rozeźlenie nasze sięga zenitu, gdy dajemy się jeszcze zrobić „w konia” sprzedawcy pamiątek, który tak nas zachęca do robienia zdjęć jego towarów, ba - nawet mnie ubiera w czapkę i wyposaża w dwa miecze, że prawie nie zauważamy, jak żąda za to opłaty. Wszyscy na gwałt chcą na nas zarobić. Bardzo nachalne zachowanie. Do tej pory mieliśmy z tym spokój, ale z drugiej strony podczas naszej tegorocznej wyprawy staraliśmy się omijać centra turystyczne. A tu trafiliśmy do najważniejszych miejsc.

Spacerując ulicą Hodża Nurabad docieramy do przepięknych obiektów sakralnych. Oglądamy z zewnątrz m.in. medresę Mur-i-Arab i przyległy do niej meczet Kalon. Medresa bowiem jest czynną szkołą koraniczną, kształcąca obecnie Imamów i nauczycieli języka arabskiego. Za to przed meczetem poznajemy dwóch specyficznych podróżników - Kanadyjczyka Davida i Turka Gurkana, którzy na rowerach poznają świat. David w podróży jest już 15 miesięcy (szalony człowiek) a Gurkan wprawdzie raptem 2 miesiące, ale za to zamierza na rowerze dotrzeć do Japonii (też niezły z niego miglanc).

Spacerując docieramy do placzyku, przy którym znajdują się dwie kolejne medresy. Pierwsza to medresa Abdul Aziz Chana, druga - Utugbeka. Obydwie szkoły są już dzisiaj nieczynne i służą lokalnym artystom i handlarzom za miejsce pracy. Można tutaj zrobić zakupy. Wśród wszechobecnej tandety można jednak znaleźć wiele peretek.

My trafiamy w tej drugiej medresie na miłą kobietę o imieniu Istat, która wraz z synem Farruhem prowadzi mały interes handlując wyrobami dziewiarskimi. Kobieta trafia w nasz gust i zostawiamy u niej nieco dolarów. Ale warto - w zamian mamy dwa bardzo ładne obrusy i kilka serwetek. A targi trwały blisko godzinę. Co więcej - w międzyczasie musieliśmy wrócić do samochodu po zapas gotówki, bo bieżące środki uległy wyczerpaniu.

Wczesnym wieczorem wracamy do hotelu po Janusza i w trójkę ruszamy na poszukiwanie knajpki, w której zjemy dzisiaj kolację. Trafiliśmy przeciętnie, chociaż w knajpce serwowano nieźle przygotowaną rybę i smaczne szaszłyki, to cenowo kolacja kosztowała nas dwie wczorajsze kolacje. Ale nie zawsze się dobrze trafia. Za to kelner rekompensował wszystkie wydatki. Nieźle zakręcony człowiek, któremu w oko wpadła Beatka, a z Januszem to się nawet zaprzyjaźnił.

Tak się dzisiejszy dzień zakończył.

Dzień sześćdziesiąty ósmy

7 czerwiec 2010

Noc była męcząca. W nocy jeszcze wyłączył się pokojowy klimatyzator i właściwie nie było czym oddychać. A na domiar złego, pod naszym oknem zamontowano potężny, świecący na zielono reflektor, to też w pokoju mieliśmy całkiem przyjemną, wręcz niezmierną, atmosferę.

Wstaliśmy wcześnie nie chcąc stracić hotelowego śniadania, które tutaj serwują dość krótko. Restauracja rano zamykana jest już o 9.00. Śniadanie, które na pierwszy rzut oka wyglądało bardzo skromnie nie było takie złe. Pojedliśmy sobie. Było nam tak dobrze, że najchętniej każde z nas wróciłoby do pokoju na małą drzemkę. Ale nic z tego - Buchara przecież na nas czeka.

Dzień rozpoczęliśmy spacerem przez Hakikat czyli dzielnicę sklepów pełnych „suvenirów”. Na szczęście dzisiaj jest poniedziałek i większość (niestety nie wszyscy) handlarzy ma dzisiaj wolne. Dla nas oznacza to spokojniejszy dzień, dużo mniej nagabywania. Z drugiej strony tracimy przyjemność myszkowania wśród stoisk i targowania się o byle drobnostki. No ale coś za coś. W ten sposób docieramy do małego placu, gdzie w meczecie Magoki-Attar zwiedzamy małe muzeum dywanów połączone ze sklepikiem. Później odpoczywamy sobie w cieniu drzew na pierwszej małej kawie. Po krótkim odpoczynku udajemy się na plac Liabi-Haus, będący turystycznym centrum Buchary. Tutaj, wokół małej sadzawki jest sporo knajpek i miejsc, gdzie można sobie wypocząć. Zwiedzamy medresę Nadir Diwanbega i ruszamy na poszukiwania dzielnicy żydowskiej. Zanim tam jednak docieramy trafiamy do jeszcze jednej medresy. Tym razem jest to mała szkoła, medresa Ibrahima Ohunda, leżąca na uboczu, jakby zapomniana (przy ulicy Anbar, w pobliżu jednostki straży pożarnej i postoju „marszrutek”).

Otwiera nam starsza pani, która z wielkim przejęciem i wzruszeniem otwiera nam poszczególne dormitoria i inne pomieszczenia. To miejsce ma specyficzny klimat, nie wiele chyba osób tutaj dociera. Panuje tu przyjemny chłód i spokój. A dzielnica żydowska - typowa stara ciasna zabudowa gliniana.

Wąskie uliczki właściwie uniemożliwiają tu jazdę samochodami. A dzisiejszy upał powoduje, że uliczki są opuszczone. Możemy więc praktycznie niepokojeni przez nikogo zaglądać w rozliczne zakamarki. Tak docieramy do małej restauracyjki Minzifa, gdzie dostajemy parzoną po turecku kawę, a nie specjał „3 w 1”. Zamarudziliśmy tutaj dobrze ponad godzinę. Upał zniechęca do włączeni, a temperatura dzisiaj przekracza 40 stopni w cieniu.

Spacerując wśród starej ciasnej zabudowy mijamy kilka bardzo ładnych chociaż podniszczonych obiektów by w końcu dotrzeć do małej synagogi. To miejsce na szczęście jest otwarte i po kilku minutach rozmowy z opiekunką (a pewnie i mieszkanką) tego miejsca możemy obejrzeć sobie to żydowskie miejsce kultu religijnego. Moją uwagę zwraca wystawka samowarów i zegar, który pracuje w dość specyficzny sposób.

Niebo jest pozbawione chmur. Słońce stoi tak wysoko, że o cieniu to tak naprawdę możemy zapomnieć. A my spacerkiem kierujemy się do dzielnicy Registan, skąd planowaliśmy dotrzeć do kolejnych ciekawych miejsc. Niestety - po drodze połowa ekipy w osobach Janusza i Ryśka - gdzieś nam skręciła i nie mogąc ich znaleźć spacer kontynuujemy tylko we dwoje. Zmęczeni upałem docieramy do meczetu Bolo-Haus, gdzie w cieniu próbujemy złapać oddech. Bardzo malowniczy i fotogeniczny budynek, którego fasada spoczywa na drewnianej kolumnadzie. A otaczająca zieleń i mała sadzawka powodują, że upał tutaj nie jest tak dokuczliwy jak w innych miejscach. Niestety - do samego meczetu nie możemy wejść. Za meczetem znajduje się spory park Samani. Jest to miejsce odpoczynku i relaksu dla mieszkańców i turystów odwiedzających Bucharę. Jest tu wesole miasteczko, staw, kilka restauracji. Nas jednak interesują zabytki, które można tutaj znaleźć. Przede wszystkim mauzoleum Ismaila Samanidesa, ale również pozostałości murów miejskich. A w pobliżu parku, tuż za pomnikiem Matki Płaczącej znajdujemy dwie stare medresy. W pierwszej - Modari Chana - urządzono kilka restauracji, w drugiej -Abdullah Chana nie urządzono niczego. Ale to właśnie druga zrobiła na nas największe znaczenie. Dlaczego? Bo jest to pierwsza medresa, po której możemy sami sobie powęszyć, wejść w każdą niemalże dziurę. Niestety - obiekt jest mocno podniszczony, przydałaby mu się restauracja. Z drugiej strony dzięki wizycie w tym miejscu możemy sobie wyobrazić, jak wygląda studenckie życie w dormitorium. Zwiedziliśmy całą medresę, weszliśmy nawet na dach gdzie poza panoramą miasta mogliśmy przyjrzeć się systemowi wentylacji budynku. Po zwiedzeniu medresy wracamy w końcu do hotelu. Jest wprawdzie dopiero 16 z minutami, ale jest tak niemiłosierny upał, że przydałby się prysznic.

Przy takich upałach prysznic to wspaniała rzecz. Po krótkim relaksie odnajdujemy Janusza i spacerkiem wybieramy się na kolację. Trafiamy do sporego jak na ichniejsze warunki lokalu, gdzie zaproponowano nam lokalną potrawę z wołowiny. Przypominała w smaku i w wyglądzie „bitki” mojej babci. I całkiem spore porcje pochłonęliśmy w zastraszającym tempie. A po kolacji ruszamy znowu spacerkiem do centrum. Wracamy na plac Liabi-Haus, gdzie odpoczywamy w rytmie muzyki uzbeckiej. Tutaj także widzimy ciekawy samochód - kamper zbudowany na bazie pick-up'a Toyoty. Poznajemy również właściciela - młodego Niemca Matthias'a, który prezentuje nam z dumą swój dom na kółkach.

W drodze powrotnej do hotelu, wczesnym już wieczorkiem, próbuję zrobić kilka „nocnych” zdjęć. Niestety obiekty w Bucharze nie są podświetlane, więc niewiele z fotografowania wychodzi. A wieczór w hotelu spędzamy przy butelce białego uzbeckiego wina marki „Gutro”.

Dzień sześćdziesiąty dziewiąty

8 czerwiec 2010

Dzisiejszy dzień, w porównaniu z wczorajszym, zapowiada się mało ciekawie. Po śniadaniu pakujemy nasze samochody i z wielkim żalem opuszczamy piękną Bucharę. Wyjeżdżamy wczesnym rankiem, już o 8.00 jesteśmy w samochodach. A mimo tak wczesnej pory na dworze jest już gorąco i musimy ratować się klimatyzacją. Wracamy w kierunku Samarakandy. Nudnawa droga, ale za to w miarę szybko nam uciekają kolejne kilometry. Jedyne co nie daje nam spokoju, to stan paliwa w naszych zbiornikach, przede wszystkim w Defie. Odwiedzamy więc kolejne stacje paliw, ale niestety na żadnej z nich nie możemy dostać paliwa dla naszych Diesel'i. Aż tu w pewnym momencie, zauważamy stację, na której tankują KAMAZ'y. Zatrzymujemy się i po krótkich pertraktacjach kupujemy za całą naszą gotówkę paliwa. Starczyło na 20 dm³ dla każdego. Nie jest to rewelacja, ale raz - nie mamy więcej pieniędzy, dwa - do granicy z Kazachstanem powinno wystarczyć, a tam przecież nie dość, że problemów z zakupem nie ma, to paliwo jest jeszcze dość tanie.

Mijamy Nawoj, Samarakandę i koło godziny 13 docieramy do przejścia granicznego. Od dwóch lat między Kazachstanem a Uzbekistanem funkcjonuje nowe przejście w pobliżu miasteczka Chinoz (ok. 70 km na południowy zachód od Taszkientu). Tutaj od razu wpuszczają na teren przejścia obydwie nasze samochody. Cała procedura idzie bardzo sprawnie, po upływie pół godziny mamy już podbite deklaracje celne, zdane dokumenty samochodu i wbite pieczątki do paszportów. Nie wiele myśląc wsiałam do samochodu, ruszam, zabieram Beatę i pomalutku, nie zatrzymywany przez nikogo dojeżdżam do bramy wyjazdowej. Tutaj zamieniam kilka słów z młodym żołnierzem, który otwiera nam bramę i wyjeżdżamy z Uzbekistanu. Jesteśmy tą sytuacją zdziwieni, bo spodziewaliśmy się „trzepania” samochodów, a tu nic. Wjeżdżamy więc zadowoleni na teren przejścia kazaskiego i tu zaczynamy wszelkie procedury celno - graniczne od nowa. Oczywiście, celnicy wyłudzi od nas na wstępie łapówkę w wysokości 20\$, za wypisanie dokumentów (które nota bene wypisywać musiałem samodzielnie). Co zrobić?

Zagryźć zęby i zachować święty spokój. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. W międzyczasie dociera Janusz i opowiada, że narobiliśmy fermentu po uzbeckiej stronie, że uciekliśmy (z zamkniętego terenu) bez kontroli samochodu. Jak mogliśmy uciec, przez zamkniętą na kłódkę bramę - nie mam pojęcia. Ale podobno celnicy próbowali nas zawrócić z kazaskiej części (formalnie nie jest to chyba jednak możliwe), bo po kilku minutach wszyscy pogranicznicy już mówili o naszej „ucieczce”. A to przecież błąd uzbeckich celników, nie nasz. Jeden z oficerów powiedział, że wszystko jest ok., że można jechać. Więc pojechaliśmy.

Po stronie kazaskiej robimy małe zakupy, tankujemy samochody do pełna i ruszamy w kierunku zachodnim jadąc wzdłuż zalewu Szardarskiego. Chcemy znaleźć jakieś miłe, spokojne miejsce na nocleg, co zresztą nam się wyśmienicie udaje. Zatrzymujemy się przy samym zalewie, na niewysokim wzgórzu. Przed udaniem się na spoczynek robię szybki przegląd samochodu, niepokoi mnie bowiem wyciek oleju z reduktora. Sprawdzam więc olej w reduktorze i w mostach, a przy okazji smaruję krzyżaki wałów napędowych. Procedurę powtarzam także pod samochodem Janusza, Defowi również należy się w końcu mały przegląd. A po skończeniu prac próbuję się jakoś domyc ze smarów, co przy ograniczonej ilości wody nie jest wcale takie proste. A w międzyczasie Beata przygotowała kolację, którą przy śpiewie świerszczy i przy pięknej poświacie gwiazd ze smakiem zjadam.